

Dziecko i kobieta w piekle sowieckim

W jednym z ostatnich numerów czasopisma sowieckiego „Krasnyj Szachtior” niejaki Mikolajenko podaje obrazki z życia górników w Zagłębiu Donieckim. Oto taki rodzajowy obrazek:

„Górnik R. z kopalni im. Woroszyłowa zaprasza do siebie kolegów. Na stole oczywiście kilka butelek wódki.

— Z synka mego, Piotrusia, mam pociechę — chwali się gospodarz. — Do mnie, jak dwie krople wody, podobny... No, Piotrusiu, pokaz, że mówię prawdę.

7-letni Piotruś nieśmiało podchodzi do stołu.

— No, chłopcze, pokaz im, że jesteś prawdziwym sowieckim górnik. Pokaż, jak umiesz wstawiać.

Szklanka wódki, nalana po brzegi, zadrżała w słabych rączkach chłopca; odepchnął głęboko, zamknął oczy i jednym haustem wlał w usta całą szklankę.

— Ha — ha! — zaśmiał się pijany ojciec. — Zuch! A teraz zeknij tych łobuzów po naszymu.

7-letni Piotruś, ledwie trzymając się na nogach, splunął zamasyżowane i wyrzucił z siebie najpotworniejsze przekleństwa rosyjskich.

Inny znawca stosunków robotniczych, Ragulin, na łamach „Komsomolskiej Prawdy” w artykule p. t. „Coś nie coś o sowieckiej kobiecie”, opowiada o szeregu wypadków w środowisku robotniczym:

„Oto pijany robotnik Kulikow beztrosko zjechał nad swoją żonę, a gdy się rozszedł, groził, że ją zamorduje, o ile do niego nie powróci. Groźbę swą spełnił. Przyszedł do niej i w obecności 5-letniego syna znasakował ją nożem. Dziecko płakało, okładając ojca kijem, ale oczywiście nie mogło przeszkodzić w

zbrodni... A nazajutrz, kiedy nieścisliwa kobieta już zmarła, sąsiedzi bez cienia współczucia czy oburzenia, plotkowali o niezwykłym wypadku. Innym razem znów w dzień na podwórzu jednego z wielkich domów mieszkalnych w Moskwie kilku robotników gwałciło dziewczynę. Wokół zgromadził się tłum i wszystkie okna były otwarte. Lokatorzy z zainteresowaniem śledzili potworną scenę, ale na pomoc nikt nie pośpieszył.

Ulica w dzielnicy robotniczej. Tłum

20 tys. franków za skromny obiad

Stynny francuski malarz Jacques Boutot, który jesz... w roku 1921 był bardzo biedny i prawie pozbawiony środków do życia, a przede

wszystkim całkowicie nieznany ze swego talentu, ofiarował jednemu z właścicieli oberży dwa obrazy, jako zapłatę za jeden zjedzony, bardzo skromny obiad. Odbiół się to po długich targach. Oberżysta dał się po prostu przekonać, wziął obrazy, powiesił w jednym z tylnych pokoi i stale narzekał, że dał „się nabrać” malarzowi, który właściwie wyrządził mu szkodę. Niedawno odbyła się sprzedaż licytacyjna dzieł Boutota, który zmarł w roku 1934. Dowiedział się o tym z pism oberżysta, który natychmiast udał się do Paryża, zgłaszając również swoje dwa obrazy na licytację. Oniemiał, gdy otrzymał za nie 20 tys. franków.

Psi pomnik

W angielskiej miejscowości kuracyjnej Swansea pogrzebano niezwykle uroczyste psa. Nie był to jednak żaden kaprys milionerki amerykańskiej, czy też wyskok starej panny francuskiej, lecz całkowicie zasłużony przez zdechłego psa — szacunek dla jego niezwykłych wyczynów. W czasie swego niedługiego żywota uratował on od śmierci 27 osób. Zarząd miejski postanowił złożyć ciału psa do łobowej paki i umieścić je obok grobu padłego na południowo-afrykańskim froncie w czasie wielkiej wojny mieszkańca Swansea. Na grobie psa zostanie nadto wystawiony pomnik z odpowiednim napisem. Cała ludność Swansea wzięła udział w grzebaniu bohaterskiego zwierzęcia.

„Profesorskie” roztargnienie



— Jaki deszcz. Dobrze zrobiłem biorąc ze sobą parasol. (Gringoire)

Tadeusz Cieślewski i Wlastimil Hofman w „Zachęcie”

Tak się to mówi powszechnie, że w „Zachęcie” nigdy nie spotykamy nic nowego, że w Warszawie bardzo niewiele rzeczy ma tak stałe oblicze, jak wystawy na pl. Malachowskiego. Jest to naogół słuszne, bo nie ulega najmniejszej wątpliwości, że malarze wystawiający w salach „Zachęty” nie wykazują tej energii i żywotności, jakiej po każdym tworzącym artyście należałoby się spodziewać. Nie mniej jednak nie można nie doceniać ogromnych zasług, jakie „Zachęta” położyła dla sztuki polskiej, czy to w okresie niewoli, czy to w czasach ostatnich przez kulturowanie najwspanialszych tradycji naszego malarstwa.

Na ostatniej wystawie „Zachęty” widzimy m. in. bardzo interesującą wystawę zbiorową szkiców Tadeusza Cieślewskiego i wystawę zbiorową krakowskiego malarza Wlastimila Hofmana. Malarze ci stawiają sobie w swojej pracy zupełnie odmienne zadania. Cieślewski, to romantyczny pieśń, a starej Warszawy, charakterystyczny malarz Krakowskiego Przedmieścia, Staromiejskiego Rynku i placu Zamkowego, Hofman, to raczej epigon romantyzmu, mającego przecież wielkie tradycje w sztuce pla-

stycznej polskiej, że wymienię tylko Jacka Malczewskiego, od którego Hofman bardzo wiele jeszcze dzisiaj korzysta.

O ile sztuka Cieślewskiego ma rzeczywiście dużo uroku i o ile doceniamy w niej pierwszorzędą, trzeba przyznać, harmonizację pierwiastków malarskich i nastroju, jaki Cieślewskiemu narzucają mury staromiejskie, o tyle sztuka Hofmana jest nam dzisiaj całkowicie obca, bo patos, już zupełnie nieaktualny, nie znalazł odpowiednika w wartościach plastycznych. Droga wstecz, którą przeszedł Wlastimil Hofman, od zdobywcy Jacka Malczewskiego, jest ogromna. To, co teraz tworzy, wygląda raczej na karykaturę, niż liryczne przeżycia artysty „Koleś”, „Dzieci z wieśmiorką” budzą pewien niesmak, zamiast nas wzruszać.

Sądzę, że zebranie tak wielkiego materiału dla oceny dzisiejszego stanu rzeczy w twórczości Wlastimila Hofmana, który przecież jest jeszcze pełen sił żywotnych, będzie poważnym ostrzeżeniem przed niebezpieczną jednostronnością. Prace pokazane na jego zbiorowej wystawie są wyzute całkowicie z wszelkich wartości estetycznych — malarskich, co już jest na wystawie plastycznej nie do darowania. Zawsze oburzaliśmy się na zanik strony duchowej w malarstwie, ale to, co pokazał nam Hofman, jest równie szkodliwe i złe, jak sztuka materialistyczna.

Zupełnie inna atmosfera panuje w sali, gdzie wystawił swoje prace Tadeusz Cieślewski. Nie są to właściwie obrazy w pełnym znaczeniu tego słowa, są to raczej szkice, wykonane z dużą znajomością techniki akwarelowej i z dużym opanowaniem pędzla.

Tadeusz Cieślewski doszedł w swoim malarstwie do dużej syntezy wypowiedzenia się. Nie ma tutaj ani jednej kreski zbędnej i nie ma ani jednej plamy, która byłaby niepo-

trzebna. Bodaj najbardziej zasługującym na wymienienie jest jego „Kra-kowskie - Przedmieście”, gdzie zestawienie ztonowanych i zharmonizowanych kolorów robi wrażenie w wysokim stopniu estetycznie przyjemne. Cieślewski zdobył się na muzykę, wypowiedzaną z dużym umiarem i z poczuciem odpowiedzialności. Śmiało można powiedzieć, że jest to jeden z najlepszych naszych współczesnych malarzy.

Trudno u niego dopatrzeć się jakiejś przesady lub krzykliwości, a to jest również cechą u malarza dodatnią.

Plastyczny wyraz epoki, stwarzany przez Cieślewskiego, będzie miał wartość nie tylko dla przyszłych pokoleń. Już my dzisiaj patrzymy się na malowane przez niego murki, stare kościoły tak, jak on nas tego w swoich akwarelach uczy. Te szkice będą mówiły w przyszłości nie tylko o samych zabytkach, ale i o naszym do nich stosunku.

Na marginesie wystawy Tadeusza Cieślewskiego chciałbym podkreślić, że zabytków przeszłości nie odebrał im nic z walorów plastycznych i że bardzo dobrze się dzieje, że Cieślewski swój talent malarski wykorzystuje na malowanie ginącej i zmieniającej się z roku na rok architektury, zamiast malować martwą naturę w rodzaju śledzi, sardynek i kalaforów. Bo wbrew sugestiom krytyków i entuzjastów sztuki francuskiej, malarstwo, które ma podłoże uczuciowe, nie polegające tylko na zadowoleniu kolorystycznym, ma tym więcej uzasadnienia, że jest nam bliskie i że w stosunku do tego malarstwa nie potrzebujemy się uczyć od żydowskich recenzentów. To jest sztuka dla każdego zrozumiąca i każdego wychowująca. Tutaj malarz może spełnić rzetelnie swój obowiązek, wynikający z tego, że zupełnie po za swoją wolą został obdarzony talentem.

Jerzy Stokowski

Ślub Habsburga



Arcyksiążę Albrecht Habsburg poślubił w Budapeszcie p. Katarzynę Bocskay, pochodzącą ze starej szlachty węgierskiej. Młoda para wychodzi z kościoła po ślubie.

Narodowe święto Rumunii



Z okazji święta narodowego Królestwa Rumunii odbyła się wczoraj w sali Rady Miejskiej uroczysta akademii. Na akademii tej prócz członków Rządu i przedstawicieli Ambasady Rumuńskiej, był obecny bawiący w Warszawie b. minister Spraw Zagranicznych Rumunii p. Istrate Micescu.

Na zdjęciu — moment przemówienia min. Micescu.

Wieczór autorski Jerzego Pietrkiewicza

W sobotę, dnia 14 maja, o godz. 20 (obok IPS-u) odbędzie się wieczór autorski Jerzego Pietrkiewicza. Biletów wstępu nie ma.

Zaprenumerować ABC

można OSOBISCIE lub LISTOWNIE w kantorze przy ulicy Al. Je-rozolimskie 3-a i p. lokal 10. albo TELEFONICZNIE — tel. 8-18-33

ARMIN O. HUBER

11)

LUDZIE I ŻYWOŁY

Powieść współczesna z Dzikiego Zachodu

Jednak noc trzeba było spędzić na łodzi, ponieważ na parowcu nie było kabiny, w której mógłby się przespać.

Kościesza wsiadł do taksówki i kazał się zawieźć do hotelu.

Opuszczając parostatek zgubił w tłoku pannę Loni Jansen. Wprawdzie pożegnała go bardzo nieuprzejmie, jednak pomyślał, że wypadłoby jej oszczędzić długiego czekania. Postanowił przejść się po południu po mieście, odszukać dziewczynę — bo z pewnością zatrzymała się w jakimś hotelu — i zaproponować, by z nim pojechała statkiem towarowym.

Taksówka zatrzymała się przed dużym budynkiem.

Kościesza nawet nie zapytał szofera, do jakiego hotelu go zawiozł. Zapłacił, wziął swoją walizkę, wszedł do hallu i przede wszystkim poprosił portiera, by mu wskazał, gdzie jest restauracja. Dopiero wpisując się do książki gości, dowiedział się, że jest to „Hotel Knox”.

Już gdzieś słyszał tę nazwę...

Dość długo łamał głowę — ostatecznie przypomniał sobie, że mówił mu o nim Chińczyk.

— Oczywiście, Szeng mówił... — mruknął. Po chwili zapytał portiera: — Czy pan zna pana Szenga?

— Nie, proszę pana — odparł portier. — Może pan chciał powiedzieć — doktora Czingwha?

— Taki mały pan... — usiłował wytłumaczyć Kościesza —

bez zarostu, dobrze ubrany... Ma bardzo ładne ręce, zupełnie kobiece...

Portier uśmiechnął się.

— Oni są wszyscy do siebie podobni, jak dwie krople wody, proszę pana... Zdaje mi się, że to musi być doktor Czingwha... Czy pan mu każe coś zakomunikować?

— A jest tu?

— Nie, proszę pana, ale depešował, że przyjedzie dziś wieczornym pociągami.

— Skąd?

— Z Vancouveru, proszę pana.

Kościesza potarł brodę, chrząknął i kazał się zaprowadzić do swojego pokoju. Gdy został sam, zestawiał i rozważał wszystkie przypadkowo zebrane wiadomości i wówczas zaklął:

— Psiakrew, coraz lepiej!

Wyjął z teczek najważniejsze dokumenty, dotyczące budowy zapory wodnej, schował je do wewnętrznej kieszeni marynarki, resztę wrzucił do walizki, zamknął ją na klucz i wyszedł na miasto. Po drodze zapytał o pannę Jansen, lecz portier oświadczył, że jej nie zna i że prawdopodobnie nigdy nie zatrzymywała się w hotelu „Knox”.

Idąc ulicą spostrzegł redakcję jakiegoś dziennika. Wszedł do biurka wstał młody człowiek.

— Czy mogę widzieć redaktora? — zwrócił się doń Kościesza.

Okazało się jednak, że wcale niełatwo zwykłemu śmietnikowi trafić do takiej znakomitej osoby. Daremnie Kościesza przekonywał młodzieńca, że ma bardzo ważną sprawę, że to jest kwestia bardzo krótkiego czasu — nic nie pomogło. Wreszcie wpadł na pomysł i oświadczył, że jest nowym inżynierem, który jedzie obejmować budowę tamy na Nass River.

To poskutkowało. Nie upłynęło piętnaście sekund, gdy został zameldowany, a po drugim piętnastu sekundach już siedział w gabinecie redaktora, który go poczęstował przede wszystkim dobrze pachnącym cygarem.

— Czym mogę służyć? — zapytał uprzejmie. Nawet przyjaźnie.

Kościesza wziął cygaro, zapalił je od kunsztownej zapalniczki, stojącej na biurku, usadowił się wygodnie w głębokim fotelu klubowym.

— Przysiągę wprost do sprawy — podjął spokojnie. — Chodzi, oczywiście, o budowę zapory wodnej. Jak słyszałem, o dostarczenie prądu dla miasta Prince Rupert ubiegają się jednocześnie dwa przedsiębiorstwa. Czy tak, panie redaktorze?

— Jota w jotę tak — uśmiechnął się Amerykanin. — To są Nass River Waterpower i Bella Bella Company. Obie firmy zwalczają się wzajemnie.

— Jednego tylko nie rozumiem, panie redaktorze — ciągnął Kościesza. — Dlaczego te dwa przedsiębiorstwa prowadzą ciekawą wojnę, która przecież musi pochłaniać ogromne pieniądze, wszak...

— Od razu widać, że pan nie jest Amerykaninem — wtrącił dobroduszenie redaktor.

— Tak — przyznał otwarcie Kościesza. — Jestem Polakiem.

— A widzi pan! — roześmiał się redaktor. — Wprawdzie jesteśmy tu na gruncie kanadyjskim, ale trzymamy się ciągle zwyczajów amerykańskich, a do nich przede wszystkim trzeba zaliczyć wolne współzawodnictwo, przechodzące niekiedy w bezwzględność i, oczywiście, bezsensowną walkę. I tem- poki! Kto przyszedł pierwszy, ten ma większe prawa. Nawiasem mówiąc, w danym wypadku... — redaktor uśmiechnął się znacząco — oprócz tego wchodzi w grę względy wyższej polityki... a raczej polityki lokalnej.

— Czy pan redaktor zna niejakiego doktora Czingwha? Amerykanin ze śmiechem skinął głową.

— Oczywiście! Kto by go nie znał! Człowiek szermierz kwestii chińskiej na terenie Kanady. Domaga się zniesienia podatku pogłównego i klauzuli niewinności.

(D. c. n.)